



Henryk Sienkiewicz
(1846—1916)

Listy z podróży (1884)

Pobyt w New-Yorku

Miasto, które na pierwszy rzut oka z morza zarysowywało się tak majestatycznie i wdzięcznie, widziane z bliska nie zachwyciło mnie wcale. Pobrzeże portu brudne, między drewnianymi budynkami nie masz bruków; wszędzie leżą kupy śmieci; doki drewniane połyskujące brudną wodą, ludność zaś, jak zwykle ludność portowa, wygląda jakby przed chwilą urwała się od szubienicy. [...]

Pierwszego dnia przyjazdu, zamiast siąść w *reading roomie* i zacząć pisać studia o obyczajach amerykańskich, jak to uczyniła pewna korespondentka do jednego z pism warszawskich, która od razu przez cudowną prawdziwie intuicję, obyczaj te zgłębić potrafiła, wyszedłem na miasto przypatrzeć się choćby przelotnie wszystkiemu. Prawda, że w nocy nie doznałem tak silnych wrażeń, jak rzeczona korespondentka, której wystrzały rewolwerowe strzelających sobie we łby amerykańców, oka zmrużyć nie dały, nietylko pierwszej, ale i następnych nocy jej pobytu w Stanach Zjednoczonych. Co do mnie spałem tak spokojnie, że mimowoli przychodzi mi wątpić, aby te ustawiczne nocne odgłosy, które słyszała korespondentka, miały istotnie tak tragiczne znaczenie; nie przesądając jednak ostatecznie tej kwestyi, od razu wyszedłem na Broadway i puściłem się na miasto.

New-York jednak nietylko nie zachwycił mnie, ale rozczarował potężnie. Każde z europejskich miast ma jakąś swoją osobliwość, którą istotnie widzieć warto: Paryż ma ich tysiące, Londyn również, Wiedeń ma swego Stefana, Berlin swego Kaulbacha, Bruksella Wirtza i św. Gudullę, Wenecya swoje kanały, Rzym papieża i Rzym starożytny, Kolonia tum najpierwszy na świecie, Kraków Wawel i Matejkę, Warszawa dobre chęci, którymi jest brukowaną, wielkich ludzi do małych interesów, najdłuższe na świecie języki, Saski ogród i dobro społeczne w kształcie dziurawego orzecha, na którym świszcze kto chce i jak mu się podoba. Wszędzie jest jakaś tradycja, wszędzie z murów patrzy na ciebie, jeśli nie czterdzieści wieków, jak było raz powiedziane na pewnym obiedzie dla jednego z jubilatów warszawskich, to przynajmniej kilkanaście: wszędzie widzisz historią zakrzepłą w mur i kamień:

wszędzie pewną odrębność narodową, wszędzie jakiś wielki ideał, którego początek w mrokach przeszłości. W New-Yorku niema tego wszystkiego. Główne ciekawości miasta, to hotele i banki, czyli inaczej mówiąc, niema tu żadnych pamiątek historycznych, żadnych ciekawości. Historii Stanów Zjednoczonych szukaj w Waszyngtonie; w New-Yorku masz tylko kupców. Handel, handel i handel, business i business, oto co widzisz od rana do wieczora, o czym ustawicznie słyszysz i czytasz. Na rzut oka, nie jest to miasto zamieszkane przez taki a taki naród, ale wielki zbiór kupców, przemysłowców, bankierów, urzędników, kosmopolityczny zarwaniec, który imponuje ci ogromem, ruchliwością, przemysłową cywilizacją, ale nuży cię jednostronnością społecznego życia, nie wytwarzającego nic więcej prócz pieniędzy. Chcąc opisać to miasto, nie wiedzieć od czego zacząć, gdzie zacząć myśl i oko; jedna ulica podobna do drugiej, wszędzie ruch, gwar i ścisk, tłumy powozów i omnibusów, mieszkańcy śpieszą się z gorączką na twarzy i w ruchach, jak gdyby mieli pomieszenie zmysłów. Pośpiech ten widzisz wszędzie: w budowie domów, ulic, chodników. Jedno zrobione i doprowadzone do możliwej doskonałości, drugie zaledwie poczęte. Oto np. Broadway, domy tu podobne do londyńskich, obok hotelu zbudowanego z białego marmuru od dachu aż do fundamentów, stoją czerwone ceglane domy, tam dalej plac pusty ze znakami pogorzelniska; wczoraj tam był pożar, dziś postawią nowy gmach, a jak się ten jutro spali, to pojutrze znów będzie inny. Tam oto kościół, w którym ludzie chwają Pana Boga, becząc jak cielęta, w innym znów drżą, w innym modlą się po katolicku. Ale kościoły te zamknięte, bo to dzień powszedni, więc business nie pozwala się modlić. Zresztą kościoły nie odznaczają się ani wielkością, ani starożytnością, rzekłbyś także zbudowane naprędce. Koło kościołów małe cmentarzyki, które tu więcej niż gdzieindegdy są miejscami wypoczynku; dalej sklepy pogrzebowe, businessy w trumnach i nagrobkach, dalej znowu ulica. Wystawy sklepowe nadpodziw świetne i bogate, ale urządzone bez smaku. Na chodnikach przed lustrzanymi szybami sklepów, leżą kupy śmieci. Miasto zabłocone, brudne, źle wybrukowane; miejscami stoją małe kałuże czarnego błota, które nie może spłynąć przez zatkane ścieki ku morzu. Mnóstwo papierków, szczątków z gazet, podeptanych skórek z jabłek i pomarańcz, leży wszędzie, tak na chodnikach jak i na środku ulicy. Między pysznymi powozami, omnibusami, jeżdżą wozy ładowne ogromnymi pakami towarów lub przechadzają się świny, niewiadomo do kogo należące, z powystrzępianymi przez psy uszami. Świń tu mnóstwo. „Oto jedna z nich, mówi pan Dickens w swym opisie New-Yorku — patrzcie, jak przedziera się między powozami i przechodzącymi. Ma jedno ucho, drugie oberwały psy w zaciętej walce na placu, gdzie okazała nadzwyczajne męztwo. Szanowna ta świnka postępuje zupełnie tak, jak przystoi na dorzecznego człowieka, z liczby tych, co to żyją tak zwanem traktyerskiem życiem. Co rano w pewnej godzinie wychodzi z domu, wędruje po mieście, je co się trafi, a wieczorem akuratnie staje przed bramą swego domu. Jest niedbałą, leniwą, wysoko

ceni swą niepodległość, nienawidzi wszelkiego przymusu i jak z równą obchodzi się z każdą inną świnią i t. p.“

Teraz jest zapewne już mniej tych stworzeń niż było za czasów pana Dickensa, ale i teraz spotkać je można więcej niż w dziesięciu europejskich miastach, zwłaszcza w dolnych ulicach New-Yorku. Krótko mówiąc, nie widziałem jak żyje miasta nieporządniejszego i z góry zapowiadam, że wszelkie usiłowania w tym kierunku municypalności warszawskiej nie przyprowadzą do żadnego rezultatu; New-York będzie miał zawsze pierwszeństwo, choćby ze względu na swoje położenie portowe.

A jednak żadne może z miast europejskich nie wydaje tyle na utrzymanie porządku i na potrzeby miasta, ile New-York; ale na nieszczęście jak inne dykasterye urzędowe, tak i municypalność tutejsza składa się z tak biegłych w zawodzie swym złodziejów, że wobec nadużyć ich błedną wszelkie europejskie grynderstwa. Jeżeli np. w jakim z miast europejskich z oficjalnego ratusza rodzi się prywatne ratusiątko, to tu oficjalna mysz musi urodzić prywatną górę, choćby sama mysz miała niewytrzymać porodu. Grosz publiczny i dobro publiczne są tu niczem więcej, jak tylko tłustością, którą smarują sobie buty ci, co chcą suchą nogą przejść przez błoto.

Później będę jeszcze miał niejednokrotnie sposobność powrócić do podobnego rodzaju nadużyć, jako też i do przyczyn, które te nadużycia wywołują, teraz zaś wracam do opisu miasta. Jesteśmy zawsze jeszcze na Broadway. Niedaleko City Hall wznosi się wspaniały gmach pocztowy, urządzony jak nigdzie na świecie. Każdy większy sklep, każda kompania, każdy nawet prywatny zamożniejszy mieszkaniec ma tu swoją osobną skrzynkę oznaczoną pewnym numerem, do której zagląda codziennie znajdując listy, przesyłki, a nawet i pieniądze. Podobne urządzenia istnieją tu i w bankach. Za pewną roczną opłatą dostaje się tu wpuszczaną w granit żelazną szufladę, zamykaną na nader skomplikowany zamek, w której można przechowywać najbezpieczniej w świecie papiery, złoto, kosztowności i tym podobne. Przechowujący przychodzi kiedy chce, wyjmuje ile chce, dokłada ile chce, odcina kupony wtedy, kiedy mu się podoba, słowem trzymając swoje pieniądze w banku, jest ich panem każdej chwili. Od złodzieja strzegą tu najpierw zamki, potem kraty, a nakoniec i strażę. Ognia zaś gmachy te massiw murowane obawiać się nie mają potrzeby. [...]

Prócz banków, prócz stock-exchange, gold-roomu (izby złotej) i innych giełd: zbożowych, wełnianych i bawełnianych, na całej Wall-Street nie masz zresztą nic godnego widzenia. Schodzimy teraz trochę na dół ku ulicom portowym. Ruch tu mniejszy, nieporządek jeszcze większy, błoto częstokroć nie pozwala przejść przez ulicę.

Koleją dwóch Oceanów

Przejechawszy most, stanęliśmy wreszcie przed szeregiem domów stojących na wysokim niezmiernie brzegu, tuż koło wodospadu. Wtedy mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Rzeczywiście, widok to, na wspomnienie którego mdleje i zwija skrzydła

wyobrażnia, a pióro wypada z ręki. Olbrzymia masa wód jeziora Erie, spływając potężną gardzielią ku Ontario, traci nagle grunt pod sobą i spada w dwóch miejscach w otchłani. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że ziemia nie wytrzyma tego ciężaru i uderzenia wód rozszalałych i dzikich, które same wydają się być przerażone. Jest w tym wszystkim jakieś przedpotopowe barbarzyństwo, jakaś niepojęta siła, a zarazem i okropność, niespotykana nigdzie, bijąca w oczy jakby straszliwym gwałtem zadawanym naturze. Mimowoli przychodzi ci na myśl, że stało się tu coś okropnego, że to jakiś kataklizm natury, i nie możesz oswoić się z myślą, że ten kataklizm nie kończy i nie skończy się nigdy. Niebo tu pochmurne i poszarpane. Gnane wichrem obłoki zbiegają się i rozbiegają jak stada dzikich koni. Naokoło czarne, ponure skały, połupane w demoniczne zręby. Huk wody ogłusza cię. Ostry wiatr tnie kroplami wodnemi po twarzy. Czasem mgła wybuchła nagle u stóp wodospadu i zaśłania oku wszystko; to znów niknie, a wtedy widzisz kłęby piany i cały wodospad jak na dłoni.

Chwile te jednak trwają krótko. Zwykle mgła, piana, woda i powietrze zmieszane ze sobą, tworzą taki chaos, że gubisz w nim wzrok i słuch, a nareszcie i świadomość, co się dzieje z tobą samym. Zdaje ci się, że się tu wszystko wściekło. Po pięciu minutach podróżnik czuje się zmęczony, a na czoło występują mu krople potu, które mrozi lodowaty oddech otchłani. Pragnie zawołać: dosyć już! a tam wodospad huczy i huczy, przepaść całą szerokością gardła wypluwa pianę, słychać jakby jakieś jęki, jakby głosy wołające o zmiłowanie; to znów niby śmiechy, przechodzące nagle w ryk wściekłości: rzekłbyś, że to całe piekło rozpiętane gzi się w straszliwej orgii wśród chaosu.

Takie wrażenie, a raczej takie przez pół tylko świadome siebie poczucie, wywołuje Niagara. Jest w tym poczuciu pewien ucisk, ale jest i rozkosz, jaką sprawia zawsze zapamiętanie się chwilowe, zapomnienie o życiu i oddanie się całkowite naturze. To też, przewyciężywszy pierwszy nieład pognębionych myśli, trudno potem oczu oderwać od tego widoku. Otchłani poczyna nęcić i wabić. Jakaś nieprzewyciężona siła ciągnie widza nad sam brzeg przepaści: chciałby ją mieć tuż, tuż pod stopami, nie oddzieloną nawet calem stałego gruntu. Chciałby pochylić się i zawisnąć choćby przez chwilę między życiem a śmiercią. A tam na dnie, potworne skręty spienionej wody zdają się otwierać na przyjęcie topielca, to znów bryzgi wyciągają się nakształt ramion gotowych objąć i porwać. Przepaść mówi: „pójdź!” ale po chwili instynkt odpowiada jej: „dobrze, ale z wszelkimi ostrożnościami!”

Jakoż „z wszelkimi ostrożnościami” można zejść na dół pod kaskadę, woda bowiem spada z taką siłą i pędem, że wygina się i tworzy łuk, między stroną wklęsłą którego a skałą, znajduje się miejsce wolne, zawalone tylko pianą i lodami. Żeby jednak tam dostać się, trzeba najprzód przybrać się odpowiednio; dlatego udaliśmy się do domku przewodnika murzyna; który wynajmuje siebie i swoje kostiumy. W chacie murzyna zastaliśmy już jakąś parę angielską, robiącą również wodospadową toaletę. Stara, brzydka i chuda miss, przybrana w obrzydliwy płaszcz i kaptur

z pęcherzów rybich, z pod którego widać było jej koniec nosa i złote okulary, wyglądała jak strach na wróble. My ubraliśmy się w podobne płaszcze i kaptury, i wreszcie ruszyliśmy całą karawaną. Po chwili murzyn wprowadził nas do małego drewnianego budynku, w którego podłodze czerniał otwór, w otworze zaś schody. Zimno bijące z lodów leżących między skałą i wodospadem i ciemność ogarnęły nas zaraz na wstępie. Brzydkie murzynisko, podobniejsze do gorylla niż do człowieka, szło naprzód, wołając od czasu do czasu; „ho! ho!” dla wskazania nam drogi w ciemnościach.

Nakoniec, po kilkudziesięciu schodach, blade światło idące z dołu uderzyło o nasze oczy. Weszliśmy do małej sionki, z której wyjście wiodło prosto pod wodospad, ale przewodnik zawołał: stop! i począł przywiązywać do butów naszych podszwy podbite ostre żelaznymi gwoździami. Angielska miss zdawała się uznawać to jako cokolwiek shoking, ale nakoniec dała się nakłonić i spuściwszy oczy, czy też okulary, wyciągnęła skromnie do murzyna nogę, a raczej szpadę, mającą kilka cali szerokości, ale za to koło jednego łokcia długości. Potem weszliśmy pod wodospad. Nie wiem dlaczego wewnątrz huk wydaje się mniejszy, jak zewnątrz; szarawe światło dzienne wnika przez zaslonę wody, napełniając całą jaskinię ponurym jakimś pół-mrokiem, pół-blaskiem. Skała stanowiąca tylną ścianę, czarna, popękana; grunt złożony z wielkich złamów lodu: wszędzie dziko i pogrzebowo. Wązkie wstążeczki wody oderwane od ogólnego wodospadu, spadają z szelestem na lody; powietrze przesiąknięte jest mgłą i kroplami; wiatr, który nie wiem jak się tu dostaje, dmie jakby w kuźni dyabelskiej; zimno przenika przez pęcherzowe płaszcze i paletoty. Mimo mniejszego huku, niepodobna się usłyszeć i zrozumieć. Po ogromnych i ślizkich jak szkło bryłach lodu, zbliżyłem się tuż do wodospadu, albowiem ostre kolce moich butów, usuwały wszelkie niebezpieczeństwo. Przewodnik zaczął coś wołać, ale widziałem tylko jego gesta i poruszenia ust, głos zaś ginął wśród ryku.

Nic piękniejszego, jak wodospad widziany od wewnątrz z dołu. Kiedym spojrzał w górę, zasłona wód wydała mi się nieruchomą, niby jedną ogromną szybą lodową, i gdyby nie wrzenie u dołu, sądziłbym, że istotnie zamarzła. Ale kłęby piany, które od czasu do czasu dostawały się z zewnątrz, rozpraszały wszelkie złudzenie. Potem spojrzałem na dół. Jakażto niezgłębioną przepaść musiały wybić w ziemi te wody spadające od wieków z takim impetem. Wszystko tam na dole wre, kipi, rozbija się, burzy, słowem: istne piekło wodne. Cofnąwszy się z lodowatego krańca, odetchnąłem głęboko jakby po nadmiernej pracy. Wnętrze jaskini wydało mi się spokojne. Małe wstążeczki przeciekającej wody rozbijały się w brylantowe krople o lodowiska, z wdziękiem i łagodnością, stanowiącą prawdziwe przeciwstawienie temu sabatowi ryczącemu o kilkanaście kroków dalej. Oczy me tak dalece już oswoiły się z pół-mrokiem, że widziałem dokładnie każdy złam i każdą szparę czarnej skały, również jak i kępki mchu, lśniące wilgocią w szczelinach.

[...]

Przedewszystkiem jednak, najczystszy typ stepu przedstawia Nebraska. Podróżnik, któremu sprzykrzyły się zaludnione, upstrzone farbami okolice Stanów wschodnich, i który pragnął widzieć pustynię, znajduje tu czego szukał. Czasem tylko, przy samej linii kolei tuli się mały domek jakiego zabłąkanego aż tu osadnika; zresztą pustka i pustka, jedna, bezbrzeżna, milcząca równina, na której wzrok niema na czem spocząć i pada wreszcie jak ptak, który słabemi skrzydłami chciał przelecieć przestrzenie Oceanu.

Chwilami, kiedy pociąg zatrzymywał się na czas dłuższy, opuszczałem stacye i biegłem na step, który zaczyna się tuż za sztachetami mizernego, zwykle drewnianego domu, zastępującego tu miejsce banhofu. Śnieg chrząścił pod nogami, wiatr pochylał wierzchołki wrzosów i szyszki ostów wystające po nad śniegiem; zresztą milczenie panowało głębokie: nigdzie ani ptaka, ani zwierzęcia, ani żadnej żywej istoty. Cisza ta jednak i pustoszą ma swój głęboki urok. Rzekłbyś, nietylko wzrok, ale i dusza i myśl gubi się w tych stepach, porzuca drogi, któremi chodzić zwykła, zapomina o swoim ja, zlewa się z otoczeniem, i przez chwilę zdaje się żyć nie własnym życiem, ale całą potęgą stepów, w której tak roztapia się jak kropla wody w morzu.

Z takich to uczuć i wrażeń, z tej łatwości, z jaką człowiek zlewa się z naturą, powstały wszystkie panteistyczne systemy. Człowiek na łonie natury i w obec natury, nie może oprzeć się poczuciu, że stanowi z nią jedno i toż samo, że w nim i w całym otoczeniu jest tylko jedna wielka dusza, a życie odrębne, ludzkie, to stan przejściowy, po którym nastąpi zlanie się z ogółem i nie byt osobisty a wiekuisty byt ogólny.

Jestto powtarzam, pierwsze i niejako wrodzone poczucie; dlatego też i wszystkie bez wyjątku pierwotne religie, są tylko różnymi formami panteizmu. Później dopiero, gdy wyrobione już sztucznie życie odejdzie daleko od natury, pochłonie swemi sprawami uwagę człowieka i przysłoni mu prawdę pierwotną, wówczas i bogi stają się ludźmi, i dusza odrębną, samoistną jednostką; ale początkowo, czy to weźmiem mitologią Greków, czy słowiańską, czy buddaizm indyjski, dostrzeżem w nich czysty tylko panteizm, który ani bogów nie zwie istotami, ani nie obiecuje życia odrębnego po śmierci.

Co więcej, w każdej naturze ludzkiej leży tęsknota do zlania się z naturą i osobistego niebytu. Życie jednostkowe, bądź co bądź męczące jest i pokutnicze, dlatego oto buddysta nirwanę niebem swoim nazywa. Nie jest ona dla niego absolutną nicością, przeciwnie nirwana to tylko wszech-życie i wypoczynek wielki, i jakoby sen wieczny, nigdy nieprześniony, a nicość i niebyt tylko dla jednostek.

Ale to, co stanowi istotę buddaizmu, tej w pierwotnej zasadzie najnaturalniejszej ze wszystkich religii, leży jako mniej więcej jasne poczucie w każdym człowieku. Tem tylko poczuciem i tą tęsknotą za wszechżyciem, w przeciwieństwie do życia

jednostkowego, można wytłómaczyć i ów niepojęty urok, jaki wywierają na nas te zjawiska natury, które mniej więcej przypominają nieskończoność.

Lubimy například morza, stepy, a jednak według zwyczajnych prawideł estetyki, kładących spokojną harmonię jako pierwszą zasadę piękności, nie masz w nich nic estetycznego. Cóż bowiem jest w tej bezbrzeżnej równinie stepowej? — Nic. Pustka tylko. Szara dal zlewa się z niebem na krańcu widnokrzęgu — milczenie w około: głusza, śmierć prawie. A jednak step nęci i wabi. Chciałbyś sięść na koń i puścić się nim, i gonić i gonić; — chciałbyś ot wykąpać się w nieskończoności, i rozłożyć ręce na koniu i krzyżeć: hej! hej stepy! i zapamiętać się w nich i obłąkać i żyć.

Czemże wytłómaczyć ten niepojęty urok? Oto właśnie dlatego, że tam tak pusto i bezbrzeżnie i nieskończenie, że tam wszystko jest tylko wszystkim, że tam jednostkowe odrębne objawy życia nikną, że tam tylko jedna wielka dusza: dlatego step tak nęci i pociąga. Jestto niby odbrzask nirwany i wszech-życia a tęsknota za niem leży w ludzkiej duszy.

Dlatego step tak nęci i pociąga.

[...]

Wkrótce byliśmy już w Nevadzie, którą jechaliśmy jeszcze cały dzień i noc następną.

Gdyby Gustaw Dore urodził się w Ameryce, powiedziałbym, że wzory do swych krajobrazów piekła brał z okolic, które przebywaliśmy teraz. Nic tak nie przygniata duszy ciężarem, nic tak nie przejmuje zwątpieniem i zniechęceniem, jak te szeregi nagich czarnych skał, otaczających równinę, przez którą przechodzi pociąg. Wyobrażam sobie, że tak muszą wyglądać umarłe pola księżycy. Bo też istotnie, wszystko tu jest umarłe. Roślinności ani znaku, ani jednego nigdzie żywego stworzenia, skały zdają się trupami skał, płaszczyna jednym wielkim cmentarzem. Chwilami nawet przychodzi na myśl, że cała ta kraina śpi jakimś martwym letargicznym snem, że to kraina zaklęta i przeklęta przez złego ducha. Jedziesz i jedziesz cały dzień, a krajobraz nie zmienia się wcale; wiecznie ta płaszczyna, chłodna, zdrętwiała, otwiera się przed tobą w nieskończoność, a po bokach ciągle takie same uśpione albo martwe góry. Do zniechęcenia przybywa jeszcze uczucie nudy, i zdaje ci się, że i ciebie sen ogarnie także, że uśnie wszystko, i czekać będzie przebudzenia wieki całe, w głębokiej i nieprzerwanej ciszy.

Nawet nazwy w tej dziwnej krainie smutne są jakies i złowrogie. Oto na prawo od pociągu, te posępne góry nazywają się Batle Mountains, czyli Górami bitwy. A i ta cała płaszczyna, to ciągle pole walk, które niedawno jeszcze toczyły się między białymi a indyanami. Do wszystkich miejsc przywiązane jakies smutne wspomnienia. „Tu wyrznęli całą karawanę pionierów“ — mówi ci świadomy miejscowości

podróżnik. Tam znów zginęło odrazu do dwustu indyan, tam zaduszono ich dymem na pieczarach. A to co znowu? mogiła, naokół grobu czarne sztachety i krzyż z napisem: „Jenny.“

Kto to była ta Jenny? Jakaś biedna dziewczyna! Nazwisko jej stoi wypisane także na krzyżu, ale uleciało mi już z pamięci. Zdarzyło się przed kilkunastu laty, kiedy jeszcze nie istniała kolej, że śnieg zasypał w tem miejscu karawanę podróżnych. Wszyscy upadli na duchu; dzieci i kobiety pochorowały się na tyfus: głód doszedł do najwyższego stopnia: wówczas Jenny, chodząc od namiotu do namiotu, pielęgnowała chorych i krzepiła upadłych. W nocy rozpałała ogniska, we dnie wygrzebywała mech z pod śniegu i gotowała go na pokarm; słowem: była aniołem opiekuńczym obozu. Ale potem upadła pod brzemieniem: rozchorowała się sama i umarła — inni ocaleli, bo ratunek nadszedł tego samego dnia jeszcze, w którym skoła Jenny. Wdzięczni pionierowie usypali jej mogiłę i postawili na niej krzyż. Dziś stoi on koło samego nasypu kolei, tak że z wagonu można przeczytać na nim napis.

Oto jest historia Jenny. Przejeżdżaliśmy koło jej grobu w południe, wieczorem zaś przybyliśmy do wielkich słonawych jezior, leżących już na zachodnim krańcu Nevady. Jedno z nich nosi nazwę Humbold-Lake, drugie Pyramid, trzecie Tahoe, czwarte Walker. W bliskości ich brzegów, grunt pokryty jest wszędzie solą i prawie zupełnie pozbawiony roślinności. Krajobraz nie różni się wiele od poprzedniego, wody te bowiem szare, nieruchome, mało przezroczyste, wydają się również jak gdyby ujęte snem zaklętym. [...]Z początku zdawało mi się, że śnieg jeszcze. Nevada wraz ze swemi dantejskimi widokami, z zimą i mroźnym wichrem znikła; byłem w lasach, w ślicznych rozrosłych na górach sosnowych lasach, wesołych, wonnych i jak gdyby uśmiechniętych w różanych promieniach poranku. Ciepły wiosenny oddech oblewał łagodnie moją twarz. Nademną rozpościerało się błękitne niebo; tysiące strumieni szemrało po górach; w lasach brzmiał świergot ptastwa; boki czerwonej skały, wśród której szedł pociąg, pokryte były kwieciami, połyskującym rosą nocną; słowem wszędzie wiosna, i przebudzenie, i życie, i wesele.

Byliśmy w Kalifornii.

Pociąg spuszczał się szybko po zachodnich stromych stokach Sierra-Nevada. Wkrótce, co żyło wyległo na platformy wagonów, na wszystkich twarzach znać było radość i zachwyty. Ludzie uśmiechali się naturze, natura ludziom. Okolica stawała się coraz wdzięczniejszą. Nigdzie nie widziałem dotąd takiego bogactwa barw i takiej zarazem ich harmonii. Niebo błękitne jak we Włoszech, ciemno-zielone lasy, jaśniejsze doliny porośnięte trawą, czerwone skały — wszystko to mieni się i gra w słonecznych blaskach jak tęcza. W głębokich przepaścistych wąwozach, nad samym brzegiem których przechodzi linia kolei, szumiały obfite wody wiosenne. Tu i owdzie widać było długie, drewniane śluzy, ciągnące się całymi milami, w których przemycają złoto. Grupy chińczyków o czarnych długich warkoczach, uwijały się koło śluz, sypiąc w nie złotodajny piasek i ziemię. W dolinach, na ciemnym tle lasów, białały

białe domki farmerów, stada krów i owiec malowniczo rozrzucone po pochyłościach gór, pasły się wśród trawy i kwiatów; czasem mignął jeździec siedzący na wysokim siodle z lassem okrzęconem w około kuli, i zniknął w skrętach lesistej drogi.

W miarę jak spuszczałyśmy się na dół, kraj stawał się coraz piękniejszy i coraz widoczniej południowy; przed domkami, stojącymi tuż przy linii, widać było ogromne kaktusy i inne rozwinięte już i okryte powodzią kwiatów drzewa; mnóstwo nieznanymi mi wielkimi roślinami wilo się naokoło drogi, lub czepiało się śluz, pokrywając je miejscami prawie zupełnie. Nakoniec góry znikły, a natomiast wjechaliśmy w łąki, porosłe tu i owdzie ogromnymi dębami. Niektóre z tych łąk stały pod wodą, inne tak były okryte przez tulipany, że prawie nie widać było trawy. Nad wodami unosiło się tysiące dzikich kaczek, cyranek i nurków. Na polach ogrodzonych wszędzie płotami, widziałem całe stada zajęcy, które uciekały w podskokach za zbliżeniem się pociągu lub też chowały się w trawę, wystawiając z niej tylko uszy i wąsy; różnobarwne ptastwo przelatywało z drzewa na drzewo, napełniając radosnym gwarem powietrze.

O godzinie jedenastej w południe przybyliśmy do Sacramento, stolicy Kalifornii. Na dworcu czekały całe tłumy ludzi, pragnące widzieć pociąg, który niedawno wydołał się z niewoli śniegowej. W tłumie tym kręciło się mnóstwo chińczyków o przypłaszczonych nosach i długich sięgających ziemi warkoczach, zakończonych splotami czarnego jedwabiu. Wszedłszy z wagonu przypatrywałem im się z ciekawością, która zdawała się ich bawić, uśmiechali się bowiem, poznając zapewne we mnie cudzoziemca, który ich poraz pierwszy w życiu widział.

Po kwadransie przestanku, ruszyliśmy dalej. Droga szła przez parę minut, tuż prawie nad brzegiem złotodajnej Sacramento-River, która z wiosną bogata w wodę, toczyła poważnie swe czerwone fale, zalewając brzegi, a nawet i domki stojące niedaleko brzegów. Po chwili jednak rzeka znikła nam z oczu, a natomiast po obu stronach drogi, ukazały się niewielkie wzgórza, pokryte kwiatami i zielonością. Kraj stawał się coraz ludniejszy, ферmy coraz gęstsze, a kultura coraz staranniejszą. Chwilami zdawało mi się że jestem w Saksonii lub Belgii, ale gorące promienie słoneczne, widok roślin, które w tamtych krajach za egzotyczne uchodzą, wywołał mnie natychmiast z błędu.

[H. Sienkiewicz, *Listy z podróży*, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1884, s. 48, 51-53, 71-73, 87-88, 99]